

Czy pamiętasz?



ELIZA ORZESZKOWA

Czy pamiętasz?

Miał pozór szczęśliwego, a przedewszystkiem ważnego człowieka, i nie był to pozór kłamliwy, bo istotnie z siebie i z losu swego czuł się zadowolonym zupełnie, a w fizycznym zarówno, jak w hierarchicznym znaczeniu ważył wiele! Gdyby z jednej strony spoczęły na szalach wszystkie zdobiące go tytuły i godności, a z drugiej kwitnąca jego tusza i wzrost okazały, niepodobnaby przewidzieć, które z szal podniosłyby się w górę. Był fizycznie wysoki, otyły, rumiany, a hierarchicznie możny, dostojny, wpływowy. Pomimo lat pięćdziesięciu zachował włosy gęste i ciemne, cerę gładką, ruchy swobodne, jakkolwiek zarazem i wspaniałe, a dlatego właśnie, że lat trzydzieści szedł jedną drogą, z jednym celem przed oczami i jedną wolą w nerwach, posiadał to, co zadowalało panujące zapewne potrzeby jego natury: rangę wysoką, tytuł wysoko oświeconego, zażyłe stosunki z jeszcze wyżej oświeconymi, wykwintne obiady i przyjemne partyjki w najwykwintniejszym z klubów, szubę przekosztowną, dorożkę śliczną, lokaja, sanie i konia-rysaka. „Hej, hej — myślał sobie czasem — gdzie to ja zaszedł! Skąd wyszedł, a gdzie zaszedł! Nie na edredonach ja rodził się, ani mnie matka w złotej kołysce kołysała! Poczciwa matka! Dobre z niej było kobiecisko: łagodne, kochane takie, aż tęskno robi się, wspominając. Ojciec też niczego sobie był człowiek; a jak całował mnie, kiedy ostatni raz stamtąd wyjeżdżał, jak całował, aż twarz oślinił, i zdaje się, że zapłakał troszkę biedaczysko. Biedni byli, no, nie żebraki przecież, ale i nie bogacze! Phuu! co za życie wiedli oni!... Niech czart weźmie! Wieczne kłopoty, zachody, praca, a skutek ich taki, że tylko plunąć na niego warto. Wszystkiego sobie odmawiaj, nic nie użyj, żadnego znaczenia na świecie nie miej i gnij w nudzie za życia, tak jak po śmierci zgnijesz w grobie, i to przedwcześnie, bo przedwcześnie oni pomarli, ze zgrzytot, albo też z nudy — czy ja wiem? Ja-bym i trzech lat tam nie przeżył, jak Boga kocham! W łeb sobie palnąłbym, albo pierwszego lepszego kpa na duel wyzwał i zabić dał się, jak Boga kocham! Z takiego dołu wyleźć i na taką górę wleźć — sztuka! Kiedy jej dokazał — tęgą mieć muszę głowę, a nerwy, jak okrętowe liny, skoro od takich trudów, jakie poniosłem, i takich nieprzyjemności, jakie cierpiałem, nie popękały. Wszystko znieść trzeba było, aby dojść... Zniosło się! I dobrze! Phi! phi! jak dobrze! Czego mnie brakuje?... Stanowisko, honory, stosunki, dochody — mam! Czego ja nie mam i do czego nie doszedłem! Dzielnym ze mnie mały!”

Pod względem pracowitości nie przeceniał siebie wcale. I teraz jeszcze, w biurze instytutyci, której był wysoko opłacanym zwierzchnikiem, i w innych, w których zajmował miejsce honorowego członka lub dobrodzieja i protektora, pracował codzień przez długie godziny gorliwie, żwawo, energicznie. Miewał też często w zakresie swoich czynności wyborne i samodzielne pomysły, a punktualność jego, akuratność, ostrożność znana była nie tylko szeroko, ale nawet bardzo wysoko. W abstrakcyje nie wdawał się żadne; poprostu na myśl mu nie przychodziły, o samem istnieniu ich nie wiedział, albo zapominał. Ale z rzeczami takimi, jak cyfra, fakt, data, nie żartował i uznawał je za panów świata i swoich. A jakże! Bez tego nie mógłby przecież dojść. W zamian, gdy wspaniały i pogodny, jak zwykle każda prawdziwa wielkość bywa, codziennie z marmurowych, ozdobnych schodów wielkiego gmachu zstępował, głowy podwładnych — nie lada jakich — chyliły się przed nim, jak kłosa przed słońcem, spojrzeniami, uśmiechami, przysługami, o spojrzenie, uśmiech, łaskawe słowo żebrząc. Błogo! Błogo! potem... hej, hej! Szybko, równo, z gracyą, kołysząc się w obie strony — mknie piękny rysak po śniegiem zasłanej, ogromnej, długiej, prostej ulicy ogromnego miasta, a na wytwornych saniach, z futrzanych puchów głowę tylko wynurzając, jego wysoko-oświeconą nieustannie prawie ukłony rozsyła

ku innym podobnym saniom i z futrzanych puchów wynurzających się głowom, dostojnym, marsowym lub janusowym, gloryami łysin, zarówno jak sławy, opromienionym głowom, które wszystkie, jak równe ku równemu, przesyłają mu ukłony, uśmiechy, znaki przyjacielskiej poufności i koleżeńskie porozumienia. Bo też i koledzy to jego są w pracach, dążeniach, zabawach; teraz zaś, tak jak i on, ogromną, białą od śniegu ulicą, wśród dwóch rzędów ogromnych białych domów, pod białym niebem, wszyscy mkną w stronę jedną: do klubu, w którym oczekują na nich pływające w sadzawkach żywe sterlety i kosze pełne lodu, a w lodzie — szampan. Błogo! błogo! Potem... na nocne, ciemne niebo wypłynie księżyc, jak krąg białego opłatka, przygasły i smutny, a przy jego świetle, po wysokich śniegowych zaspach, trójka za trójką, z brzękiem i dzwonieniem poleca oni za ostatnie kresy ogromnego miasta, daleko, tam, gdzie czarnookie, lubieżne cyganki śpiewają i tańczą, a noc przechodzi w ulewie światła i w pożarze szalów... Albo opera! Niech czart weźmie, jakie tam drogie i modne śpiewaczki gęby rozdziawiają! O dźwięki, które z gęb tych wychodzą, dba on bardzo mało, bo muzycznego ucha odmówiła mu natura i w ogólności wszystkie takie rzeczy — to głupstwo! Ale takie sumy, jakie otrzymują one za swoje śpiewanie, szacunek i ciekawość budzą, a z innej strony, w ogromnym teatrze ściany pozłacane, oczy aż mrużą się od jasności, w łóżach cały ogród pięknych kobiet, z których on zna zblizka tę, tę i tamtą — w krzesłach cały olimp dostojnych mężów, z których on zna tego, tego i tamtego, — gorący oddech tłumów, żartobliwe szeptki, widzenie wszystkich i pokazywanie się wszystkim, z ręką w antrakcie z gracyą o poręcz fotelu wspartą, z lornetką przy oku... Błogo! błogo! I tak dalej, i tak dalej, dzień za dniem, noc za nocą, dumnie, szumnie, wesoło pomyka życie, pycha na wawrzynowym łożu przewraca się z boku na bok i aż stęka od rozkoszy; zmysły nurzają się w morzu róż i wszystkimi swemi nozdrzami piją ich słodkie i wonne olejki.

Jednak, od lat dwóch może, jego wysokooswieconosc stawać się zaczął mniej zadowolonym i wesołym. Coś z nim stawało się takiego, czego sam nie rozumiał i co zrazu fizycznemu niedomaganiu przypisał. Zasięgał więc rady lekarzy (wielkich i sławnych), jeździł do Spaa i Ostendy, używał hydroterapii, gimnastyki i masażu: nic nie pomogło. Bólów żadnych nie czuł; silnym był tak, że, jak sam powiadał, wołu-by mógł pięścią zabić: a jednak coś mu było, coś z nim stawało się tak widocznie, że nawet spostrzegali to weseli koledzy i przyjaciele. I jakżeby mogli nie spostrzedz zmian tak widocznych? Głośny, swobodny śmiech jego daleko rzadziej, niż przedtem, napelniał klubową salę; przy najlepiej, a co więcej, w najzaszczytniejszy dla niego sposób dobranej partyjce, nie rozpromieniał się, nie żartował; raz na propozycję jechania do cyganek schmurzył czoło, machnął ręką i mruknął niechętnie: „Czart niech weźmie! Nie chcę *toujours des perdrix!*” Innym razem talerz z wybornie przyrządzonym sterletem popędliwie odsuwając, skrzywił się: „nadojadło!” Czasem oczy jego, zazwyczaj ogniste i bystre, przybierały pozór szklanych i, gdy nieruchomo wpatrywał się niemi w pustą przestrzeń, zębami przygryzał końce wąsów, zupełnie tak, jak to czynią nie szczęśliwcy panowie tego świata, ale jego skłopotani i zgryzieni wyrobnicy. Na czole, niedawno jeszcze tak gładkiem, jakim prawdziwie dostojne czoło być powinno, zjawiły się zmarszczki poprzeczne, zrazu cienkie, jak nici jedwabiu, ale potem coraz głębsze... „Co mu się stało?” — zapytywali przyjaciele. „Co mi się stało?” — sam siebie zapytywał i zarówno sobie, jak przyjacielom, odpowiadał: „Czy ja wiem? Świat zmienił się, czy ja zgłupiał? Trzymałbym zakład, że sam nie wiem, co mi jest!”

Na głębokiem, dalekiem, ciemnem niebie zimowem świecił księżyc, jak krąg białego opłatka, przygasły i smutny, bo blask jego tłumili olśniewające światła gazowe, szeregi, gromadami, girlandami palące się na ogromnym, od śniegu białym placu ogromnego miasta. Po białym śniegu w olśniewającym świetle pomykają i w różne strony krzyżują się tysiące punktów czarnych, wobec ogromu placu drobnych, a szybkich, cichych, dzwoniących tylko brzękami upręży. To rój sanek, rozwożących tłum ludzi od rozwartych na oścież i w lunie światła stojących wrót teatru.

Tak jak inni, był dziś w teatrze, słuchał opery, widział wszystkich i w antraktach, rękę z gracyą o fotel opierając, pokazywał się wszystkim. Potem wskoczył na sanki, zagrzebał się w futra i na stangreta zawołał: „Poszedł!”

Szybko, równo, z wdziękiem kołysząc się w obie strony, pobiegł rysak przez plac i ulicę, a pan jego na zgrabnych saniach poziewał tak szeroko, że z ust mu, jak z komina, buchała para i mgłą wilgotną skrapiała puszyste futro.

Poziewając, wszedł do mieszkania swego, a lokajowi, do majestatycznego automatu podobnemu, rozkazawszy, aby herbatę przyrządził, rzucił się na otomanę turecką i — westchnął. Były tam dokoła niego śliczne sprzęty, obrazy, lampy, draperye, zwierciadła, kobierce — wszystko, słowem, co do komfortu, szyku i mody należy. Apartament, co się zowie, świetny i pusty, w tem znaczeniu, że oprócz majestatycznego automatu, który pana swego spotkał, żywa dusza w nim nie mieszkała. Pan apartamentu bezżennym był dla różnych powodów. Był czas, że chciał ożenić się, byle tylko rozumnie, dobrze. Ale bogata panna z jednego świata, o którą się starał, odmówiła mu; zaś z wysoko zestosunkowaną panną z drugiego świata sam żenić się nie chciał. Już miał zdecydować się na to, bo partya była (z racyi stosunków owych) wyśmienitą, lecz nagle ogarnęły go jakieś, niejasne dla niego samego, wahania się, skrupuły, którym uległ. Rozumiał dobrze, że były to głupstwa, jednak ich natarczywym, choć bełkotliwym namowom uległ: nie ożenił się, i tak już zostało na zawsze.

Po świetnym i jasno oświetlonym apartamencie chodząc, oczy miał znowu szklane, końce wąsa w zębach gryzł i kilka razy zamruczał: „Niech czart weźmie takie życie!” Czuł się więc z życia niezadowolonym! No proszę! po takich trudach, mozołach, zabiegach, przy takich stosunkach, honorach, dochodach, czuć się z życia niezadowolonym! Dziwnie! dziwnie!

Nagle do biurka podszedł, w białe, pulchne palce wziął list nie rozpieczętowany; oczy mu błysnęły, uśmiechnął się. „Od Anulki! Jak Boga kocham, od Anulki! Tak dawno nie pisała, myślałem, że i nigdy już nie napisze. Aż ot, przypomniała sobie znowu... Rad jestem, bardzo rad!”

Ta Anulka była siostrą jego, mieszkającą kędyś w głuchym zakątku, pod białowieską puszcza, w niewielkiej, porodzielskiej wiosce. A kiedy rodzice ich umarli, był on już w połowie świetnej swojej kariery i do siostry napisał: „Bierz sobie wszystko. Dla ciebie i twoich dzieci to los i szczęście, a dla mnie głupstwo, na które plunąć tylko warto”. Nie prosiła go też potem nigdy o nic i czasem, w listach, dobroczyńcą go swoim nazywała. Od lat dwudziestu przeszło nie widywali się wcale; ona do niego pisywała rzadko, on odpisywał zwieszle, albo i nie odpisywał wcale: przechodziły miesiące, czasem lata, w których ani razu siostra na myśl mu nie przyszła. Jednak teraz, gdy na kopercie listu pismo jej poznał, rad był, bardzo rad, a gdy kopertę otwierał, uśmiechnął się, i zmarszczki znikły mu z czoła. Przy biurku siedząc, profilem do oświetlającej je lampy zwrócony, pierwszą połowę listu szybko przebiegł wzrokiem, ale drugą czytał daleko powolniej i dłużej. Jednak treść jej nie wymagała wcale głębokich rozważ i kombinacji. „Czy pamiętasz — pisała mieszkanka dalekiego wiejskiego dworku — jak tatko wieczorami długie rozmowy prowadził z ekonomem, a my, małemi dziećmi jeszcze będąc, z kątku pokoju patrzeliśmy na poruszający się śród ściany cień jego wielkich wąsów i jak to nas bawiło? Małe bo rzeczy wystarczały nam wówczas do szczęścia. Czy pamiętasz, kiedy po raz pierwszy rodzice zawieźli nas w głąb puszczy, do leśniczówki, w odwiedzinę, jaką radością napełniła nas ta wyprawa? W leśniczówce tej bywam niekiedy i teraz; nic się tam nie zmieniło. Sosny takie same, proste, smągłe, niebotyczne, jak były podówczas, i paprocie takie wysokie, jak te, w których zabłądziliśmy tak doskonale, że rodzice, z pomocą innych osób, przez parę godzin nas szukali. Nic dziwnego: schowaliśmy się w tych paprociach z głowami i szliśmy, a szliśmy wciąż naprzód, ciekawi, co będzie dalej. Ja lękałam się wprawdzie rozbójników i dzikich zwierząt, lecz tyś zapewniał, że mnie obronisz, i to mnie uspokajało zupełnie. A rodzice nasi, zamiast gniewać się, żeśmy im taki niepokój sprawili, z wielkiej radości, że zguba się znalazła, całowali nas i ściskali długo; że zaś ta podróż po paprociowej gęstwinie nas zmęczyła, tatko ciebie, a mama mnie, na rękach do leśniczówki zanieśli. Czy pamiętasz ty to, Władysiu? A szum puszczy pamiętasz, w który nieraz na samotnych przechadzkach wsłuchiwalismy się godzinami, gdy byliśmy już ty — dorastającym chłopcem, a ja — dużo podrosłą dziewczynką? A ponieważ już mówię o drzewach, czy pamiętasz te trzy stare, rozłożyste klony, pod którymi w lecie jadaliśmy zazwyczaj śniadanie i podwieczorki, i jak na podwieczorki dawano nam chleb z miodem, i jak ty ten przysmak lubieś? Tak dalece lubieś, że ja, choć łakoma, oddawałam ci często

połowę, swojej porcyi, a tyś za to biegiał do leszczynowego lasku po orzechy, które były znowu namiętnością moją? Pamiętasz? Klony tecoraz starsze, rozłożystsze, stoją i teraz tam, gdzie stały, miód, jak i dawniej, jest w pasiece i są orzechy w leszczynowym lasku: tylko ciebie, Władysiu, niema tu już nigdy, nigdy”...

Do miejsca tego doczytawszy, wzrok przeniósł ku górze kartki i ze szczególnymi uśmiechami, które mu to błyskały, to gasły na ustach i w oczach, po raz drugi to samo przeczytał. Potem odwrócił kartkę, na której miękka dusza kobieca, w jakiś cichy wieczór zimowy wspomnieniami poranku życia rozrzewniona, pisała dalej:

— Czy pamiętasz nasz pokój dziecinny, nieduży, z bielonemi ścianami i oknem, wychodzącym na ogródek, w którym mama siała różne lecznicze zioła, takie pachnące? Pamiętasz mamę, cierpliwie i długo rozmawiającą z babami wiejskimi o ich dolegliwościach i biedach, albo pojącą ziołami biedne, blade dzieci? W naszym zaś dziecinnym pokoju wyhodowały się i wyrosły z kolei moje dzieci: Staś i Julcia, a teraz jest on moją i Julci sypialnią. Ściany w nim, tak jak dawniej, białe, i okno wychodzi na ogródek, w którym ja z kolei sięję czomber, ślazi i melisse; niedawno nawet znalazłam gdzieś na strychu twojego drewnianego konia i, oczyściwszy go starannie, w kącie pokoju postawiłam. Pamiętka po tobie... bo, choć wprawdzie żyjesz, ale nie dla nas, nie dla nas”...

Tu czytający ręce z listem opuścił na kolana i, w przestrzeń wpatrzony, głową wstrząsał. Do pokoju wszedł majestatyczny automat i, cicho po puszystym kobiercu stąpając, wniósł na srebrzonej, ciężkiej tacy herbatę z mnóstwem przyborów i dodatków, a postawiwszy ją na stole, o przyniesieniu jej niższym głosem panu swojemu oznajmił. Ale pan ani go widział, ani słyszał, i czytał dalej:

— A starą nianię naszą, Kasię Hołubową, czy pamiętasz? Jakie ona miała różne zabawne, a jak tatko utrzymywał, mądre, przypowiadki i przysłowia, a ręce takie ciemne, grube, z węzłowatymi palcami, którymi przecież tak starannie i delikatnie ubierała nas, czesała, głaskała, gdy cokolwiek nam dolegało, do ust przykładała przysmaczki, kiedyś ją rozkaprysili i samem głaskaniem pocieszyć nie dawali! Złote miała serce i bardzo nas kochała ta prosta chłopka. Wypiaowała też potem Stasia i Julcię i do końca życia przebyła u nas, w tym pokoiku, w którym to, pamiętasz, dawniej jabłka na zimę chowano, i którego okno na gaik brzoźowy wychodzi. Ale ty, naturalnie, nie wiesz o tem, że Hołubowa już nie żyje. Przed rokiem zmarła, a w chorobie ciągle ciebie wspominała. Na kilka minut przed śmiercią mówiła jeszcze: „Czy Władys nie pisał? pojechał on od nas. Niech nim Najświętsza Panna opiekuje się i niech jego Pan Bóg błogosławi”. Wiem, mój Władysiu, że to błogosławieństwo starej naszej niani nie obchodzi cię wcale, jednak posyłam ci je, i niech będzie ono z tobą i nad tobą. Pochowaliśmy ją na tym cmentarzu, co to, pamiętasz? pod sosnowym borkiem, nad modrą łąką, krzyżykami sterczy, i na którym też rodzice nasi są pochowani. Ale ty na tej mogiłce, pod którą Hołubowa nasza na zawsze spoczęła, zapewne nie będziesz nigdy”...

Znowu opuścił list na kolana, zamyślił się, a każdy z tych, którzy go widywali w biurze, w klubie, w teatrze i u cyganek, ujrawszy go teraz, byłby zdziwionym niezmiernie. Plecy miał przygarbione, głowę naprzód podaną, oczy przygasłe i nieruchome, na czole mnóstwo zmarszczek; wyglądał staro, staro... Po kilku minutach list niedoczytany na skraju biurka leżał, on zaś sam pisał:

— O wszystkim ja zapomniał, moja Anulko, a jednakowoż wszystko pamiętam i trzymałbym *peri*, że nikt nie zrozumie, jakim sposobem tak być może. Ale człowiek, choć z tęgą głową, to takie stworzenie, któremu nie tylko wszystko, ale nawet samego siebie zrozumieć trudno. Teraz zdaje mi się, że już siebie rozumiał. Dopóki ja ciągle naprzód szedł i myślał: jeszcze tam zajdę, jeszcze tam, jeszcze to zdobędę, jeszcze tamto, dopóty była walka i wielka ochota do walki i życia. A kiedy już wszystkiego swego dokazałem... Ej, srogiz to żart jakiś to nasze życie ludzkie! Pracujesz, męczysz się, znosisz nieprzyjemności różne, pędzisz, jak szalenciec, przez góry, które kruszysz, przez morza, które przepływasz: a gdy już pochwycisz to, czego tak pożądałeś, widzisz, że w ręku trzymasz — marę. Zebym ja przy sobie miał kogoś swego, możeby mnie i mara dłużej cieszyła, a tak fiuuu! — zniknęło wszystko, została się pustynia. Jak to dobrze, że napisałaś do mnie i że nazywaś mnie tak, jak dawniej, Władysiem. Piękny Władys, gruby, jak beczka, i stary, stary już!... jednakże to prawda, Władys! A imion tatki i mamy nie wymówiłem już ja lat

ze dwadzieścia... pierwszy raz dziś... Ot, dziwna rzecz! dopóki byłem młody, wszystko mi jedno było i wszystko mnie cieszyło; a teraz, kiedy w żyłach krew trochę ostygła, a w rękę okazała się mara, zachciało się gwałtem czegoś innego, innego! Wiesz co? ty ode mnie szczęśliwsza, Anulko! Ciebie obchodzi wiele rzeczy: Staś, Julcia, majątek, różne tam i nie twoje własne nawet sprawy i historie; ty lubisz swoje białe ściany, swoje klony, czombry, orzechy, puszcę... Prawda, że ta puszcza ślicznie szumiała, a zapach maminego czombru tak mi się dobrze przypominał, że aż w nosie zaświdrował. No, powiedz, a orzechów możesz ty jeszcze tak wiele zjadać, jak dawniej? A leszczynowy lasek bardzo jeszcze nie wycięty? A co się stało z naszym psem Burkiem? czy dawno zdechl? Ej, kłaniaj się ty ode mnie puszczy, klonom, drewnianemu konikowi memu i mogiłce starej niani Hołubowej! Albo, wiesz co? przyjadę ja kiedy do was! Teraz nie mogę: służba, interesy nie pozwalają, ale jak tylko lata doczekam, wezmę urlop i przyjadę. Ej, niech czart weźmie, może ja i inaczej... no, jeszcze rok, dwa lata, a pokłonię się pięknie wszystkim tu i wszystkiemu i zupełnie powrócę do ciebie i do...

Na wyraz następny spadła gruba łza, rozpląnęła się po nim i uczyniła go nieczytelnym.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/czy-pamietasz-orzeszkowa>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Siteczko, Czy pamiętasz?*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa [etc.] [1923].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0609-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).